

W połowie stycznia 1944 roku na terenie Wołynia zarządzono koncentrację Oddziałów partyzanckich. "Kicia" ten rozkaz nie obo wiązywał, ale postanowiła stawić się w miejscu koncentracji. Długo musiała przekonywać rodziców, żeby złamać ich opór, ale w końcu uzyskała ich zgodę. Zameldowała się w Zeszykach u porucznika "Znicza" jako ochotniczka. Trochę się obawiała, że może wrócić do domu, ale na szczęście właśnie w prowizorycznym szpitalu brak było sanitariuszek.

Szpital urządzony był w szkole. Nie mieli nawet stażego lekarza. Doktor "Osiemnastka" /W. Zagórski/ w ważnych przypadkach dojeżdżał z Kupieczowskiego szpitala. I tylko pod kierunkiem sanitariusza /Edwarda Klikewskiego/ musieli sobie radzić sami.

"Kicia", czyli Kasia Błaszczak nie miała specjalnego przeszkolenia sanitarnego, po prostu tylko podstawowe wiadomości udzielania pierwszej pomocy zdobyte na obozach harcerskich i na szkolnych kursach PCK.

Nie ujawniła jednak swej niewiedzy, tylko pilnie podglądała pracę innych. Po kilku dniach dawała sobie radę tak, że chorzy i lekarze byli zadowoleni. Najtrudniej było przekonać samą siebie, bo od dzieciństwa widok rany przysparzał ją o drżenie kolan. I zdarzyło się nawet, że asystując doktorowi "Osiemnastce" przy zabiegu wyjmowania małych odłamków kości z rozbitej czaszki, na widok drgającego mózgu zemdlała. Ale z czasem i ta wrażliwość przeminęła. Trudno tylko było przekonać niechęć do wykonywania tych najbardziej przykrych czynności przy chorych.

Życie w partyzanckim szpitalu płynęło spokojnie aż do 21 stycznia, gdy Niemcy znienacka podeszli do wsi i podpálili ją

równocześnie w kilku miejscach. Z płonących domów trzeba było ewakuować chorych, a transportu nie było żadnego. W wielkim pośpiechu wynosili ich na dwór podczas styczniowego mrozu i lokowali na przygodnych furmankach, które z dobytkiem i rodzinami uciekały dalej w las. Odtąd byli ciągle w ruchu.

Kiedy zapadła decyzja, że oddziały partyzanckie z powodu przybliżania się frontu przesuną się na zachód - szpital również podążał za oddziałami. Ciężko ranni zostali w Kupieczowie, lecz z nadzieją na wyzdrowienie ulokowano na zwykłych wiejskich wozach wyłożonych słomą i tak podążali za oddziałami przeważnie nocą. A był to początek wiosny, deszcz, śnieg, zawierucha i błoto po kolana. Ciężki był przebieg wołyńskimi drogami.

W okresie tym oddziały partyzanckie staczały coraz częstsze walki z Niemcami. Rannych przybywało. Tabor się powiększał. Na postojach były coraz gorsze warunki z zaopatrzeniem i wyżywieniem. Ranni leżeli wprost na podłodze na słomie przykrytej derkocem. Coraz trudniej było z lekami. Bandaże trzeba było prać i używać kilkakrotnie. W takich coraz gorszych warunkach przybyliśmy do wsi Mosur. I właśnie od tej chwili zaczęły się dla szpitala dni tragiczne. Każdy dzień to oddzielny rozdział w życiu szpitala. To co dzień nowi ranni, to smutne wieści o śmierci kolegów.

W Mosurze mieliśmy stać kilka dni i tam spędzić Święta Wiołkowe. Każda z sanitariuszek starała się swoim chorym stworzyć warunki przynajmniej w tym dniu domowo-rodzinne. Tak się zdarzyło, że właśnie w tym okresie "Kicia" miała pod opieką ciężko rannych, a między nimi swego dowódcę z konspiracji porucznik "Kruka", który po amputacji ręki był w bardzo ciężkim stanie. Przy nim była również jego żona Irena Iniałek, która na wieść o

nieszczęściu męża przybyła z Kowla, by się nią opiekować. Dzień częsta upiekły ciasto, nawet postarały się o symboliczne malowanie pisanek. I właśnie w ten nastrój świąteczny wdarły się do szpitala odgłosy walki i to coraz bliższej. Kasia - "Kicia" dostała rozkaz ubrania rannych, którzy będą mogli sami się poruszać i wynarozu do lasu. Na zabranie ciężko rannych nie było możliwości, nie było wozów i czasu na ich przetransportowanie. Niemcy byli podessli na trzy kilometry od obozowiska - powiało grozą, bo ja tu zostawić bezbronych, ciężko rannych ludzi i w dodatku nie wolno im było o tym powiedzieć. Porucznikiem "Krakica" opiekowała się żona. Ciężko chorego z 40-stopniową gorączką wyprowadziła do lasu. Na szczęście partyzanci odparli atak Niemców. Ale wieść musiano opuścić, bo okazało się, że są okrążeni i trzeba uciekać dalej do lasu.

Tabor szpitalny przemykał się cicho leśnymi drogami aż tu narez strzały, potworny huk pocisków, narastający warkot czołgów. W jednej chwili powstał okropny zamęt, konie się popłoszyły, lżej ranni zeskakują z wozów i uciekają. "Kicia" miała pod opieką kilka wozów z rannymi. Każdy z tych wozów ucieka w inną stronę. I narez widzi - przed nią wywraca się wóz do góry kołami. Nie wie czy tam pod wozem nie ma rannych. Krótka walka wewnętrzna. Co robić? W jednej chwili decyduje się. Zeskakuje z wozu i podbiega do furmanki. Rannych tam nie ma. Ale w tym czasie jej wozy odjechały daleko.

Wskakuje więc na pierwszy lepszy wóz, który jest bez sanitariusza i okazuje się, że jest tam bardzo potrzebna. Leży na nim dwóch ciężko rannych. Jeden nieprzytomny z przebitym płucem i drugi znajomy kolega Kiełbasinski z Kowla z przestrzeloną

szczęską, która zwisa i mocno krwawi. Każdy wstrząs sprawia mu okropny ból. Ranny, mały chłopak, z przestrzelonym płucem jest nieprzytomny i kurasowo trzyma się i szarpie tego drugiego. Trzeba ich rozdzielić. Jednemu podwiązała brodę, drugiego próbowała uspokoić. Ale ten kilkunastoletni chłopak, wciąż się tulił jak do matki, płakał i skarżył się, że boli.

Musiła więc udawać matkę i pocieszać. Chory wyraźnie się uspokoił i przytulony ze słowami "jakaś ty dobra mamo" ucichł. Dopiero po kilku chwilach spostrzegła, że skonał. A wszystko to działo się przy akompaniamencie wystrzałów i potwornego huku pocisków, na wozie ciągniętym przez rozszalałe konie. Była to pierwsza śmierć, z którą zetknęła się tak blisko. I choć nie znała imienia, nazwiska ani pseudonimu tego chłopca, był jej bardzo bliski. Pod osłoną nocy w głębokiej ciemności pochowali go w lesie z innymi, z myślą, że tu wrócą i odnajdą jego nogi.

Po wielu dniach tużeski zapadła konieczna w tej sytuacji decyzja. Partyzanci przedzierają się przez front, a szpital ukryty głęboko w lesie otoczonym bagnami musi jakoś przetrwać i doczekać się przyłącza Armii Czerwonej. Zwykły wiejski wóz był dla rannych kółkiem szpitalnym w dzień i w nocy, a dachem niebo nad głową. Całe szczęście, że była już wiosna, ale w dni deszczowe było naprawdę ciężko. Rannych wciąż przybywało. Zaczęli obawiać się głodu. Nie mieli chleba, zapki były coraz cieńsze i coraz trudniej było ze środkami opatrunkowymi. A do tego przewidzianą szarą stały się wazy. Nie było na nich rady.

Odechające oddziały zostawiły wszystko, co mogło się nam przydać, a przede wszystkim żywność. Spowodowało to częściową poprawę sytuacji, wstąpiła we wszystkich otucha, że chyba przet

rwają i doczekają się wyzwolenia. Ale niestety. Pewnego słonecznego ranka wybuch nagle strzelenina z przeciwległej strony polany, narastający szum, krzyki i naraż wszyscy uciekają wołając:

- Uciekajcie - Niemcy!

Niesamowity popłoch, ranni wyskakują z wozów bez butów, nie ubrani. Strzelenina wzrasta, konie przywiązane do drzew bossilnie się szarpia. Przez las leci krzyk strachu. Wszystko, co może się ruszać ucieka w popłochu. Kozik Bombel ranny w obie nogi zopomnił o bólu, kulejąc i potykając się uciekał jak nieprzytomny. "Kicia" zdążyła tylko złapać torbę sanitarną i uciekła z ranymi do lasu. Jak się potem okazało na szpital natknął się przypadkowo patrol węgierski.

Wielu rannych uciekło, ale część szpitala dostała się do niewoli. "Kicia" z niewielką grupą znalazła się w lesie bez żadnych środków do życia. W torbie sanitarnej miała trochę lekarstw, bandaż, waty i to na razie wystarczyło. Ale z żywności nie mieli nic. Zaczęli szukać dawnych miejsc postoju oddziałów. Znaleźli trochę kartofli i kaszy. Raz dziennie gotowali wiadro gęstego krupniku. Był tak dobry, że w życiu takiego nigdy nie jedli.

Nikt z grupy nie orientował się gdzie są, co dzieje się z resztą szpitala i jak się dostać do siedzib ludzkich. Kilkakrotnie między drzewami widać im zielony płaszcz niemiecki, ale nie wiedzieli czy to Polacy, czy Niemcy. Po kilku dniach spotkali grupę partyzantów radzieckich, którzy także znaleźli się w okropnym położeniu. Nakarmili rannych, ale nie doradzić nie mogli, bo też czekali swoich. Po wielu dniach głodu i błądzenia po lesie spotkali gajowego, który zgodził się taką małą grupę wyprowadzić z lasu.

Ustawili się gęściego i w największej ciszy sali za nią.

Kiedy po pewnym czasie "Kicia" obejrzała się do tyłu - zdębiała. Za nią szedł długi szereg uzbrojonych partyzantów, którzy wychodzili z ukrycia dołączając do rannych. Gajowy wyprowadził ich na skraj lasu. Przed nimi w dość dużej odległości była droga, a za nią wieś. Mieli iść brzegiem polany, a potem skrajem lasu. Słońce już kryło się za drzewami i narez na drodze zauważyli niebieską konnicę. Wszyscy zaczęli uciekać w stronę lasu.

"Kicia" także biegnie, ale jest jej coraz ciężiej, bo w sandalowej torbie ma kartofle i kaszę. Chcąc sobie skrócić drogę, żeby dogonić chłopców, przecina na skos polanę, ale jest to szorstliwe bagno. Im dalej do środka, tym głębiej się zapada. Chłopców już nie widać. Słońce skryło się za drzewami i momentalnie zrobiło się ciemno. Wreszcie wyszła na twardej gruntu mokra do pasa. Została sama nie wiedząc gdzie jest, nigdzie żadnego światła i ta świadomość, że w pobliżu są Niemcy. Ogarnia ją straszna rozpacz. Nie może się dostać w ich ręce, zaczyna się gorąco modlić. W kieszeni ma rewolwer tzw. "siódmkę" daną jej na przechowanie przez "Cygana", który poszedł na wieść i nie wrócił. Nie bardzo wie jak się z nią obchodzić, ale świadomość, że może z niej w ostateczności zrobić użytek dodaje jej odwagi. Powoli się upokaja mówiąc sobie "raz kozie śmierć". Nagle zauważa zbliżającą się jakąś jasną plamę, przywiera ze strachu do ziemi. Był to na szczęście mieszkaniec okolicznej wioski, który odwoził rannych do szpitala i prawie cudem zauważył zbłąkaną sanitariuszkę.

Całą noc mokra i zziębnięta błądziła wraz ze swym przewodnikiem szukając wyjścia, by nie trafić na niemieckie posterunki. Ody wreszcie dotarli do drogi i jego rodziny we wsi Turówko, był ledwie żywa i miała wysoką temperaturę. Rodzina Bronisława Raka

bo tak się nazywał wybowca, otoczyła ją serdeczną opieką i w czasie choroby trwającej wiele dni pielęgnowała i leczyła.

Przeżyłam jeszcze wiele ciężkich chorób ~~na~~
zrakając zawsze Dywizyjną kolumnę materialną
na rękach Subalpejskiej, ale to już daleko
drogą moich partyzanckich przeżyć.

R. Luce

(Jest to przedruk zamieszczony w książce
"Lepianin Piłki i jej nieznane")